

Pod Krzyżem Południa



Chile

Od wielu lat marzyłem o podróży na południowy kraniec Ameryki Południowej, o dotarciu do legendarnej Patagonii i na Ziemię Ognistą. Ta wyjątkowo surowa, a często niedostępna i niegościnna kraina pociągała mnie wspaniałymi krajobrazami. Tu znajdują się jedne z najpiękniejszych na Ziemi szczyty górskie, słynne ściany i iglice Torres del Paine, Fitz Roy, Cerro Torre.

U ich podnóża najpiękniejsze z górskich jezior, a także olbrzymie, ciągle rosnące lodowce górskie. No i „miasto na końcu świata”, najdalej na południe wysunięta osada, słynna Ushuaia. Do tego jeszcze rejs statkiem po wąskich kanałach i cieśninach, a także najpotężniejszych na świecie fiordach, podziwianie dziewiczej przyrody (...).

Lecimy przez Zurych do Santiago de Chile. Lot z przesiadkami trwa ponad 20 godzin. Przeżywam, a właściwie przesypiam jedną z najdłuższych w życiu nocy, bo – lecąc na zachód – cały czas cofamy wskazówki zegarka i noc jest dłuższa niż normalnie. Rano, tuż przed lądowaniem, z okien samolotu obserwuję

niezapomniany widok

na najwyższy szczyt kontynentu – prawie 7-tysięczną Aconcaguę, na stokach której już byłem. Ostre, nieprzyjemne lądowanie w stolicy Chile, gdyż piloci w krótkim czasie muszą sprowadzić samolot ze znacznej wysokości, wszak lecieliśmy nad najwyższymi szczytami Andów.

Zamierzamy jak najszybciej dotrzeć na południe kraju. Połączeń pomiędzy Santiago a odległym o ponad 1000 kilometrów Puerto Montt jest wiele. Można polecieć samolotem, pojechać pociągiem lub skorzystać z jednego z kilkunastu połączeń autobusowych. Wybraliśmy nocne połączenie autobusowe. Nie traciliśmy dnia na przejazd i nie musieliśmy dodatkowo płacić za nocleg. Do wyboru mieliśmy ofertę

kilku różnych przewoźników. Standard autobusów w Ameryce Południowej jest o wiele wyższy niż w Europie, pojazdy są bardzo wygodne, siedzenia duże, bardzo dobrze wyprofilowane, rozstawione nie tak gęsto jak u nas, a do tego doskonała obsługa stewardów, projekcje filmów, możliwość słuchania muzyki i to na kilku kanałach. Serwowane są posiłki, jest stały dostęp do kawy i herbaty. Poszliśmy na całość i zafundowaliśmy sobie przejazd

w wersji sypialnej. Główne drogi w Chile są doskonale utrzymane, prawie cały czas jechaliśmy słynną Pan-Americaną. To droga, która prowadzi wzdłuż zachodnich wybrzeży obu Ameryk, rozpoczyna się na Alasce, a kończy w Patagonii, ma 25750 kilometrów długości. Przejazd ponad tysiąc kilometrów zajął nam 12 godzin.

Puerto Montt to niezbyt duże miasto, ważny port i

brama wjazdowa do Patagonii.

Leży u podnóża dwóch wysokich wulkanów: Osorno – 2652 m n.p.m. i niższego Calbuco – 2002 m n.p.m. Oba stożki są pokryte śniegiem,

a niższy z nich ma wyraźnie rozerwaną kalderę, jest to efekt ostatniej erupcji, która miała miejsce kilka miesięcy wcześniej.

Byłem tu 15 lat temu, od tego czasu miasto zmieniło się. Pamiętałem Puerto Montt jako bardzo kolorowe miasto małych, drewnianych domów. Miało niezapomniany klimat. Życie toczyło się wolnym tempem, nikt się nie spieszył. Przy nabrzeżu cumowały łodzie rybaków. Bezpośrednio od nich można było nabyć świeże ryby

i owoce morza. Dziś miasto znacznie się rozrosło i wzbogaciło, głównie na połowie lososi. Wybudowano kilka wysokich budynków, w których ulokowały się banki i drogie hotele. Powstała nowa nadoceaniczna promenada spacerowa.

W Puerto Montt, dużym porcie rybackim, można zjeść doskonale ryby i owoce morza, ale najbardziej znaną potrawą jest *courantos*. Jest serwowany w większości tutejszych restauracji, ale my idziemy do portowej małutkiej knajpki, gdzie są zaledwie dwa stoliki. Po dość długim oczekiwaniu dostajemy duży talerz, a w nim: wielkie małże, żeberko wieprzowe, solidny kawałek kiełbasy, kurczaka, a do tego placki ziemniaczane i zbożowe,

ostry sos i duże kawałki cytryny do wyciśnięcia. Wygląda smakowicie, już zaczynamy się dzielić tą porcją, a tu na stole lądują kolejne talarze. Dla każdego z nas jest przygotowana taka solidna porcja. Zamawiamy więc duży dzban dobrego chilijskiego wina i rozpoczynamy naszą ucztę, która trwała dość długo.

Kolejne dni to wymarzony od bardzo dawna, wspaniały i niezapomniany

rejs statkiem

po kanałach i fiordach południowego Chile. Płyniemy z Puerto Montt do Puerto Natales. Rejs trwa trzy i pół doby, a w tym czasie pokonuje się

ponad 1400 kilometrów. Do podziwiania są wspaniałe szczyty Andów, lodowce górskie spływające bezpośrednio do Oceanu Spokojnego, głęboko wcięte fiordy, mniejsze i większe wyspy. Podróż jest luksusowa, ale na jej rozpoczęcie musieliśmy trochę poczekać. Prom przyplynał do portu we wczesnych godzinach rannych, wysiedli z niego turyści, którzy przyplynie z Puerto Natales. Po kilkunastu minutach z dużym zdziwieniem obserwowaliśmy „ucieczkę oceanu”. Rozpoczął się odpływ i nasz prom gwałtownie osiadł na mieliźnie. Dopiero późnym popołudniem mogliśmy wypłynąć z portu. Po zakrętowaniu na „Ewangeliście” turystów wita kapitan i załoga.

TYGODNIK

ISSN 0867 8162 Nr Indeksu 378739 K 45850

www.angora.com.pl

ANGORA®

WARSZAWA-CHICAGO-DORTMUND-TORONTO-NOWY JORK

Nr 9 (1028)

Rok XXI 28 lutego 2010 r.



Port w Puerto Montt

Do dyspozycji ponad 130 pasażerów, ze wszystkich kontynentów poza Afryką, jest dwójka młodych ludzi, którzy pełnią rolę przewodników pilotów, pomagają w kwestiach organizacyjnych, prowadzą wykłady i zajęcia. Szczególnie do gustu przypada nam młoda dziewczyna, która jest podobna do Pénélope Cruz i taki, który otrzymuje od nas pseudonim. Nasza kajuta znajduje się na środkowym pokładzie, tuż obok dużej sali jadalnej. W trakcie rejsu mamy zapewnione trzy posiłki dziennie, obowiązuje samoobsługa, a posiłki wydawane są w dwóch turach. Na górnym pokładzie znajdują się kawiarnia i świetlica.

Czas płynie wyjątkowo szybko, bo atrakcji jest co niemiara. Zmieniały się krajobrazy,

na skalistych wyspach

możliśmy obserwować kolonie pingwinów lub lwów morskich. Największą widzieliśmy w wąskim, głęboko wciętych fiordzie Elefantos. Obok burty przepływały delfiny, a kapitan dostrzegł nawet wieloryba, który wyrzucił do góry wielką fontannę wody. Mimo wyciężania wzroku nie udało się nam zobaczyć tego olbrzyma. Pogoda była kapryśna, ale byliśmy na to przygotowani. Nie zaskoczyła nas, wiedzieliśmy, że patagońskie lato może być bardzo dżdżyste. Bywały chwile z pięknie świecącym słońcem, lecz dominowały godziny z opadami deszczu, a nawet deszczu ze śniegiem. Wiał bardzo silny wiatr. Do czekających nas atrakcji byliśmy dobrze przygotowani, codziennie organizowane były prelekcje, spotkania i prezentacje filmów o lodowcach, fiordach, zwierzętach, mijanych parkach narodowych. Wszystkie one były prezentowane w dwóch wersjach językowych, po hiszpańsku i angielsku, podobnie jak dziennik „Evagelistas News”, który codziennie rano dostarczano nam do kajuty.

Po dwóch dobach rejsu dostrzegliśmy w końcu pierwszą i – jak się później okazało – jedyną w czasie całej podróży osadę – Puerto Eden. Mieszka w niej zaledwie stu kilkudziesięciu mieszkańców: żołnierze strzegący bezpieczeństwa chilijskich wybrzeży, ich rodziny, rybacy oraz hodowcy maź. Wydaje się, że życie mają niezbyt ciekawe, a kontakt ze światem sporadyczny. Oczekiwali na nasz statek, który przywiózł dla nich trochę prowiantu: warzywa, mięso, wędliny. Nie zawijaliśmy do małego portu, na nasze powitanie wypłynęło kilka

niewielkich łódek.

Odbiór przesyłki trwał niespełna kwadrans i mieszkańcy Puerto Eden pozostali znów zupełnie sami.

Przed nami jedna z głównych atrakcji rejsu, dopływamy do fiordu

Eyra, do którego splaywa jeden z największych na kontynencie lodowców górskich – lodowiec Pio XI. Pomimo kiepskiej pogody niebo mocno zachmurzone i pada deszcz ze śniegiem, który widać z daleka. Jego zwiastunami są pływające po oceanie kry i góry lodowe. Wszyscy pasażerowie są na zewnątrz i z różnych pokładów oglądają wspaniały spektakl przyrody. Ze statku opuszczono dwie szalupy i marynarze podpłynęli pod czoło lodowca, do jednej z gór lodowych i przywieźli jej solidny kawałek. Mogliśmy go później dodać do whisky i pisco.

Kilka razy udało się nam dotrzeć na mostek kapitański i z tej perspektywy obserwować trasę rejsu, oglądaliśmy locje z zaznaczonymi głębokościami oraz kształtem dna oceanu. Czytaliśmy nadchodzące komunikaty o stanie pogody. Wcześniej niż pozostali pasażerowie dowiedzieliśmy się, że po wyjściu na otwarty ocean czeka nas lekki sztorm. Fale dochodziły do wysokości 2,5-3,5 metra i wiał wiatr o sile 6 stopni w skali Beauforta. Trochę po zachodzie słońca, późno, bo około godz. 23, gdy słońce skryło się już za widnokretem, na nieboskłonach pojawiła się niesamowita poświata. Ten wąski pas nieba o intensywnej barwie czerwono-pomarańczowej rozdzielał czerń pozostałej części nieboskłonu od ciemnej zieleni wód oceanu.

Na statku żegnaliśmy stary rok i witaliśmy nowy. Ze względu na różnicę czasu pomiędzy Polską a Chile mogliśmy to uczynić dwukrotnie. Pierwszy raz wznieśliśmy toast, gdy na statku było jeszcze zupełnie jasno, o godzinie 20, ale w Polsce wybiła właśnie północ, a po kolejnych czterech godzinach, tym razem zgodnie z miejscowym czasem, wypiliśmy kolejną lampkę szampana. W sylwestrowej dyskotekce bawiliśmy się w gronie międzynarodowym: byli Chilijczycy, Argentyni, Japończycy, Żydzi, Rosjanie, Czesi, Polacy. O północy spotkaliśmy się na górnym pokładzie, wznieśliśmy noworoczny toast, składaliśmy życzenia. Na

bezchmurnym niebie

nad głowami mogliśmy podziwiać Krzyż Południa. A ku naszej radości kapitan statku wystrzelił w niebo kilka kolorowych rac. Zabawa nie trwała zbyt długo, bo już następnego dnia – w Nowy Rok około południa dobijaliśmy do celu, do Puerto Natales i chcieliśmy być w dobrej formie. O poranku podziwiamy potężne, strzeliste iglice i wieże szczytów w Parku Narodowym Torres del Paine, do których za kilka godzin dojedziemy.

Tu w Puerto Natales zaczyna się kolejny etap przygody. Kilku dniowy

trekking po Parku Narodowym Torres del Paine. Nie tracąc ani chwili, jedziemy w góry i już wczesnym popołudniem znajdujemy się przy Laguna Amarga – jeziorze, które jest bramą wjazdową do parku narodowego. Dostajemy się tu małym bussem, jedziemy głównie drogami szutrowymi, przy których podziwiamy wspaniałe, dzikie wikunie, udaje się nam też dostrzec papugi. Jesteśmy zaskoczeni, że żyją one w tym ostrym klimacie. Od obsługi busa dowiadujemy się, że to gwaruby, czyli gatunek, którego siedlisko jest wysunięte najdalej na południe. Przejeżdżamy tak wąskimi mostkami nad górskimi potokami, że kierowca musi składać boczne lustro, aby nie zawadzić o barierki. Podróż kończy się przy nowo wybudowanym kompleksie hotelowym Hosteria Las Torres. To obiekt w stylu alpejskim, dla turystów z zasobnymi portfelami. Można tu wynająć konie i dojechać na ich grzbietach do schroniska Chilieno – celu naszej dalszej wędrówki.

Jednak po kilku dniach lenistwa na promie wybieramy wariant pieszej wędrówki. Z ochotą zakładamy plecaki i rozpoczynamy pierwszą, na tym wyjeździe, andyjską przygodę. To, co nas zaskakuje, to brak na szlakach samotnych turystów. Przepisy poruszania się po Parku Narodowym Torres del Paine zabraniają indywidualnych wyjść w góry. W tym dniu pogoda nam jeszcze dopisuje, jest ciepło, widoczność doskonała. Już niedługo będziemy mieć okazję poznać kapryśnego patagońskiego lata, temperatura spadnie wtedy do zaledwie kilku stopni powyżej zera, zaczną się bardzo intensywne opady deszczu i deszczu ze śniegiem, a wiatr będzie nas przygniatał do ziemi.

Nawet nie zauważamy, jak szybko podchodzimy

doliną Ascensis

do pierwszego punktu noclegowego – schroniska Chileno. W schronisku tłok, jest pełnia sezonu. Okazuje się, że uczyniliśmy rozsądnie, rezerwując wcześniej miejsca noclegowe. Czekają na nas ostatnie wolne łóżka, właściwie prycze i to rozlokowane na... czterech poziomach. W sali jadalnej tłok, nie ma miejsc. Kolację konsumujemy tylko ci, którzy ją wcześniej zarezerwowali. Długie drewniane stoły są ładnie, nakryte, ozdobna zastawa, piękne wielkie kieliszki do wina, lecz dzisiaj to wszystko nie dla nas. Szybko uczymy się tutejszych reguł i następnego wieczoru też będziemy czcić udany dzień dobrą kolacją i jeszcze lepszym chilijskim winem.

**Tekst i fot.:
JAROSŁAW FISCHBACH**